

KADRY PRAWDY

WOJTEK WARDEJN

... byłem wyrobnikiem tabloidu

Katastrofa budowlana

Banda kretyńców wyburzała kamienicę

Podczas wyburzania oficyny na ulicy wielkiej w katastrofy budowlanej. To już trzeci taki wypadek w tym mieście. W tym roku wyburzono już trzy kamienice. W tym roku wyburzono już trzy kamienice. W tym roku wyburzono już trzy kamienice.

Karp nie doczekał świąt

Dramat kontrowersyjnego posła

Kowalski, najbardziej kontrowersyjny poseł w polskim sejmie, przeżył dramat. Hodowany od roku w wannie karp, padł tuż przed Bożym Narodzeniem. Karp nie doczekał świąt.

To niestęchane.

Mażeństwo rozmawia przez Internet.

Mażeństwo rozmawia przez Internet. To niestęchane. Mażeństwo rozmawia przez Internet. To niestęchane.

„Fala” w szkołach zawodowych.

Durne żarty doprowadziły do śmierci nastolatka.

„Fala” w szkołach zawodowych. Durne żarty doprowadziły do śmierci nastolatka. Durne żarty doprowadziły do śmierci nastolatka.

Natóg przyczyną wybuchu

Bezmyślny operator podnośnika winnym tragedii

Natóg przyczyną wybuchu. Bezmyślny operator podnośnika winnym tragedii. Natóg przyczyną wybuchu.

KTO WYGRA TEN KONKURS

KTÓRY FOTOGRAF BĘDZIE NOMINOWANY???

KTO WYGRA TEN KONKURS. KTÓRY FOTOGRAF BĘDZIE NOMINOWANY???. KTO WYGRA TEN KONKURS.

Bezmyślny operator podnośnika winnym tragedii

Bezmyślny operator podnośnika winnym tragedii. Bezmyślny operator podnośnika winnym tragedii.

Natóg przyczyną wybuchu

Natóg przyczyną wybuchu. Natóg przyczyną wybuchu.

KTO WYGRA TEN KONKURS

KTO WYGRA TEN KONKURS. KTO WYGRA TEN KONKURS.



Wojciech Wardejn

KADRY PRAWDY

czyli

byłem wyrobnikiem tabletu

© Copyright by Wojciech Wardejn & e-bookowo 2010
Grafika i projekt okładki: Wojciech Wardejn
ISBN 978-83-61184-85-0

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2010

[Kup książkę](#)

OŚWIADCZENIE

Niekoniecznie wszystkie historie, opisane w tej książce się wydarzyły. Ale mogły się wydarzyć – możliwe, że nie do końca tak, jak są opisane. Osoby występujące w niej są również fikcyjne. Ale niewykluczone, że istnieją naprawdę.

Polska to dziwna kraj.

W.W.

„...można błędzić, ale nigdy nie wolno się ześwinić...”

WSTĘP

czyli słów kilka o tym, co boli

Jak zaczynałem robotę w tej redakcji, to myślałem, że złapałem Boga za nogi. Ściślej po pierwszych wypłatach. Niewiarygodne, ale prawdziwe jak gówniarz, co to po szkole myśli, że coś umie i jest fachura, że hej. Mamili pieniędzmi, fotoreporter to i z siedem koła może wyciągnąć miesięcznie. Taaaak, ale wtedy cztery koła to same koszty, jeśli wszystko zwróca.

Teraz po dwóch latach harówy, rozpadającego się małżeństwa, zszarganych nerwach, wrzodach, bliski zawału, obelgach, groźbach z Warszawy i poznańskiej mafii, z kredytami na sprzęt, debetami na kontach, i długami u rodziny i znajomych... zaraz, zaraz rozpedziłem się czy... nie do jasnej niespełnionej ku... ladacznicy, obiecałem sobie, że nie będzie tu wulgaryzmów z mojej strony tylko dziennikarski zapis rozmów z „redaktorami” z wa-wy (że też temu niemieckiemu kurdupłowi w pikielhaubie nie udało się jej zburzyć). Co za ludzie tam ciągną. Inteligencja, której życzenia popierane są słowami na k i na ch w stylu: „weź tego ch... i ustaw tak a tak” lub „weź pier... tą k... i znajdź jakiegoś innego targeta¹ do tego tematu, ostatecznie podstaw znajomego”. No właśnie jest coraz mniej osób, z kręgu moich znajomych, do których mogę zadzwonić bez wstydu. I na co to wszystko? Dla forsy? Przecież zawsze kochałem robić zdjęcia. A teraz jak o tym pomyślę, to mi się chce rzygać, wszyscy muszą patrzeć w obiektyw robić głupkowate gesty, bo bez tego, mało, że fota nie pójdzie to jeszcze zadzwoni jakiś gówniarz z wawy i opier... nie przebierając w słowach.

Najlepszym fotoreporterem dla tej gazety byłby pierwszy lepszy szympan z poznańskiego zoo, z cyfrą. Na takiego każdy spojrzy i jeszcze głupią minę zrobi. Ideał wprost. A jaka oszczędność. Banany teraz takie tanie, a na barter też niejednen market by poszedł. No, ale dość już tego przy nudnego wstępu...

AUTOR (zawsze chciałem się tak podpisać)

¹ target – w nomenklaturze redakcji brukowca osoba występująca na zdjęciu przy jakimś artykule, trzymająca się za głowę z rozpaczy, z kciukiem do góry, generalnie target jest po to, żeby artykuł zyskał na wyrazie. Bardzo często *target* nie jest informowany dokładnie o treści artykułu.

KADR I

Dwie małe śmierci, czyli jak podeptać czyjaś tragedię

Zmęczone upałem słońce zapala łagodne światła na masztach jachtów w zatoce. Zrywająca się, wieczorna bryza budzi kuranty w takielunku². Coraz głośniejsze i głośniejsze..., co jest? Przecież, aż tak silna nie jest? Co tak wyje?

Telefon... No, tak, koniec marzeń. Coś się dzieje. Gdzie jest ta cholerna elektroniczna smycz?... Jest!

Na wyświetlaczu „Małgorzata biurko”. Hm, szefowa.

– Co jest?

– Wstawaj kurwa i zapierdalaj na Chrobrego.³ – Słodycz tych słów stawia mnie na nogi – wypadek był, motocykl i samochód, dwa trupy motocyklista w szpitalu, nieprzytomny... – Zerkam na godzinę, 7.30

– A o której?

– W nocy, o pierwszej, czy coś,

– To pewnie już sprząta... – usiłuję wtrącić, usiłując jedną ręką nałożyć pastę na szczoteczkę...

– Ty mi kurwa nie przerywaj. – Anioł, nie kobieta, przemyka mi przez głowę. – Masz mi tam wszystko zrobić przeżyciówki i koniecznie motocyklistę w szpitalu.

– Na *oiomie*⁴ to i tak z nim nie pogada...

– Z ukrycia – przerywa mi znowu. – Masz tam wejść i zrobić, jak jest podłączony to tych wszystkich gówien. Chuj, zapierdalał przez miasto i dwoje dzieci zabił, to zrobimy z niego zwyrola⁵... Jutro idzie to na kraj⁶... Aha, i weź Alicję z redakcji.

– Dzieci???

– Tak... dwoje jechały tym tico z tyłu, i on tam się akurat w nie wbił.

2 Takielunek – po prostu, olinowanie stałe jachtu. Takie sznurki, co to te maszty trzymają. Więcej tam jest elementów, ale na potrzeby książki, pojęcie to zawężam.

3 ul. Chrobrego – nazwy ulic i osiedli zostały zmienione.

4 Oiom – oddział intensywnej terapii w szpitalu, gdzie trafiają pacjenci w ciężkim stanie.

5 Zwyrol – bardzo często bogu ducha winny człowiek, ale na niego wskazał jakiś informator, bądź osoba przychodząca z tematem do redakcji.

6 idzie na kraj – wydanie główne gazety, kolportowane w całym kraju.

– A jak mam te przeżyciówki⁷ zdobyć?

– Nie wiem, kurwa, może gdzieś tam mieszkają, ludzi popytać. No dalej, zapierdalaj...

– Myję zęby już – odpowiadam

– Ty tam za dużo nie myj, tylko jedź, Alicja już czeka... pi... pi... pi... pi... pi

– Dzień dobry może, albo do widzenia *cy cuś* – mówię do pipającej komórki – też cię lubię – dodaję, nie wiedząc, czy mam na myśli aparat, czy była rozmówczynią.

Szuru buru, prawo lewo, gacie, spodnie, koszula, sprzęt⁸, i już jestem w aucie. Jadę ulicami mojego miasta, i myślę sobie o tragedii, co to mam ją upublicznić. To mogły być moje dzieci. Ja mógłbym jechać tym motorem. No cóż, praca trzeba ją wykonać. Gdybym tak mógł fotografować piękne kobiety... ta Alicja na przykład. Cud dziewczyna, i do tego nie jest głupia...

– Wojtek żonę masz też piękną i niegłupią – no tak, sumienie się obudziło. Jezu jak ono wkurza mnie czasami budzi się, a spać powinno, i nie daje żyć...

– Wiem, wiem – mówię – daj spokój...

– Tak, ja dam spokój... a ty mi tu znowu na manowce zejdiesz... ja i tak już razy parę zasnęłam i czmychnąłeś mam wymieniać Anka, Dan...

– Nieeee, nie, przecież pamiętam, mam ci je wymienić według alfabetu czy według dat? Daj mi spokój widzisz, na jaki materiał jadę! – bronię się – tym się zajmij...

– No może masz rację, ale nie myśl, że mi coś tu ściemnisz

– No dobra już dobra – ucinam jego męczące moralizowanie.

Wjeżdżam w Bednarską. Alicja już czeka. Po minie widzę, że trafiła się nam cegła, co najmniej średniowieczna.

– Cześć. – Alicja wsiada.

– Cześć... Mamy już coś? – pytam, myśląc o adresie byłych już rodziców.

– Tak... Oni gdzieś tam mieszkali. Chlapnęła nam to drogówka, jakiś wieźowiec na osiedlu obok – dodała swoim aksamitnym głosem. – Wojtek!!! – Sumienie nie śpi, cholera – już będę grzeczny – odpowiadam – No!!! Mam nadzieję.

– To, co, gdzie? Najpierw miejsce? Czy szpital? – pytam, ruszając.

– Szpital... Marcowa... Bo rodzice raczej będą w domu, a do szpitala zdążymy przed obchodem i dyrektor pewnie też jeszcze będzie wolny, żeby wydać zgodę na wejście – dysponuje Ala.

– Oki. – Dodaję gazu, wciskając się w sznur samochodów.

⁷ Przeżyciówka – zdjęcie osoby która zginęła bądź zaginęła, bardzo często z dowodu lub legitymacji, rzadziej z wakacji, istotna jest twarz, żeby pokazać w gazecie jak osoba wyglądała

⁸ Sprzęt – aparat fotograficzny, obiektywy, i takie tam urządzenia pozwalające robić zdjęcia.

Szpital... wielki gmach z betonu i szkła, wykuty robotniczą siłą w czasach peerelu, ohydztwo, jego bryła zawsze z daleka przypomina mi nagrobek... skojarzenie co najmniej makabryczne... ale cóż, choroba to w końcu, dwie ćwierci, od śmierci... ochroniarz przy szlabanie o wyglądzie ciecia (skąd oni ich biorą???) na widok legitymacji press chowa parkingowy bloczek i usłużnie podnosi barierkę. Zajeżdżamy pod izbę przyjęć.

Alicja, jak zawsze ponętna, podchodzi do dyżurki (Jezu jak ta dziewczyna potrafi się poruszać...). Po paru słowach podchodzi do mnie, niewysokiego ciemnego blondyna, nie rzucającego się w oczy, gdyby nie ten wór ze sprzętem...

– Dyrektor jest, a gościa na intensywną terapię przewieźli – zagaduje swoim altem

– To, co? dyrektor?... czy udajemy na oiomie, że cioci szukamy???) – sonduję jaką taktykę przyjmujemy

– Dyrektor – ucina – ostatni to szpital, w którym dyrekcja i personel chcą jeszcze z nami gadać... reszta tych placówek, już od dość dawno ma nas dość... pamiętasz dyrektora Sasanę z dziecięcego? – Ach ten jej alt. – Wszystko nam mówił, pomagał jak mógł, przekonywał rodziców... jak drastyczne sprawy były, że możemy pomóc... i takie tam? – kontynuuje. – Od słynnego artykułu redaktora Zembrzuskiego⁹ już gadać z nami nie chce...

– Jakiego???) – pytam.

– No tego... co napisał, że te szpitale będą likwidowane... i nam nie powiedział, jaki materiał robi... sam robiłeś mu zdjęcia... jak pojechaliśmy na rozmowę z nim o szpitalu. potem do mnie zadzwonił... nie chciałbyś takich rozmów przeprowadzać...

– No tak... masz rację... Dlatego robię zdjęcia... żeby takich telefonów nie odbierać.

– Cwaniak...

Antresola. Drzwi do sekretariatu dyrektora Kuszomskiego. Trochę zmęczona przez życie sekretarka wprowadza nas do gabinetu Najważniejszego w tym budynku...

– Witam... witam... Kochaną prasę – podlizuje się dyrektor Kuszomski. – Co państwa sprowadza do mojego gospodarstwa???)

– Motocyklista – mówi Alicja – ten z nocy z wypadku

– ... Dobry... – odpowiadam na powitanie...

– Aaa... tego z ulicy Chrobrego...

– Tak – jak ta dziewczyna potrafi być konkretna... kiedy trzeba

– Pani Beatko... proszę mnie z terapią połączyć... z ordynatorem... – dysponuje dyrektor.

⁹ Zembrzuskiego – nazwiska i imiona dotyczą osób istniejących naprawdę, z oczywistych względów sądowo-prawnych zostały przeze mnie zmienione

Po chwili dzwoni jeden z telefonów na zawalonym papierami, ogromnym biurku dyrektora.

– Tak... Paweł... ja tam ci wysyłam dziennikarzy... tak... do tego motocyklisty... noo... od tych dziewczynek... powiedz, co wiesz, i co możesz... okej... no jakąś fotkę zrobią... no bez twarzy, wiesz... dziękuję – odkłada słuchawkę – no to załatwione... wiecie, gdzie jest oiom... piąte piętro... ordynator udzieli państwu wszelkich informacji.

– A zdjęcia??? – pytam, wyciągając aparat z torby.

– Można zrobić... ale wie pan, bez twarzy...

– Wiem, nawet jak twarz będzie, to ją zapikslujemy¹⁰... no chyba, że klient się zgodzi...

– Chyba raczej się nie zgodzi... nieprzytomny jest...

– No tak, FAKT....

Żegnamy się z dyrektorem i udajemy się w kierunku wind, w środku ten budynek nie wygląda tak traumatycznie, widać inwestycje, nowe technologie, wykładziny, wystrój, powiedziałbym nawet, że jest przyjemnie. Tylko ci ludzie w szlafrokach... gipsach... i bandażach... trochę tą sielankę psują. To w końcu przecież szpital.

Ordynator intensywnej terapii, sympatyczny facet w wieku, chyba coś koło pięćdziesiątki. Wita nas skąpym uśmiechem spod szpakowatego wąsa harmonizującego z idealnie przyciętymi, równie szpakowatymi włosami.

– Co chcieliby państwo wiedzieć?

– Jak czuje się sprawca wypadku? – Alicja go atakuje – czy coś powiedział, jakiś kontakt z nim jest?

– Nie, od momentu przyjazdu jest podłączony do aparatury i kontaktu z nim nie ma... ale jego stan jest stabilny... udało nam się go wyprowadzić, bo przyjechał w dość ciężkim stanie...

– A jakaś jego rodzina, albo przyjaciele pojawili się w szpitalu? – pyta Alicja, a ja w tym czasie rozglądam się, próbując, żeby to nerwowo nie wyglądało, a lufa mojego aparatu zatacza kręgi fotografując co się da, a nóż widelec, na którejś kłacie złapię gościa, jakby jednak nie pozwolili zrobić zdjęć. – Można z nimi porozmawiać?

– Rodzina była rano, ale teraz pojechali do pracy... z tego, co się orientuję, to chyba rozmawiać nie chcą z prasą... Chcą spokoju...

– A jakieś namiary na nich?

– Tak jak mówię... oni kontaktów z prasą nie chcą – twardo ucina ordynator. – Pan zdaje się jakieś zdjęcia chciał zrobić?

– Tak tego motocyklisty na sali...

¹⁰ Zapikslować – zasłonić twarz osoby, która, nie wyraża zgody na publikację swojego wizerunku. W przypadku podejrzanych i przestępców stosuje się przeważnie czarny pasek na wysokości oczu

– To zapraszam – mówi lekarz, podchodząc do drzwi z napisem intensywna terapia. – Ale rozumie pan – uśmiecha się przeprasza­jąco – na salę wpuścić pana nie mogę tylko w drzwiach pan stanie...

Dobra, dobra – myślę – zawsze taki kit wciskacie.

– Nie ma problemu – odpowiadam, starając się wyglądać sympatycznie – ale z drzwi go widać?

– Jedy­ny pacjent po lewej – dodaje otwierając drzwi – i proszę nie używać lampy...

W oczu rzuca mi się przestronność i sterylność pomieszczenia. Łóżka pacjentów od­dzielone parawanami, stoją w takich odległościach, że spokojnie zaparkowałbym obok każdego samochód. Nieprzytomnego motocyklistę oplatają węże i kabelki. Na monitorach miarowo pulsują lampki i wyświetlacze. Co jakiś czas ktoś z personelu podchodzi do urządzeń i sprawdza jakiś odczyt. Na widok mojego aparatu chowają się jednak w popło­chu za parawanami i tylko czasem widać, jak podglądają mnie przez szpary. Czuję się, jakbym zawitał gdzieś w dżungli do Indian nie mających kontaktu z cywilizacją i techni­ką.

Potężne okna dają tyle światła, że aż żał lampę wyciągać. Zdejmuję gościa z góry, z do­łu, żeby warszawka miała co wybrać i mrugam do Alicji. Pracujemy razem już trochę, więc uśmiecha się przelotnie, dając mi znak, że zrozumiała. Jestem zadowolony z obraz­ków. Twarzy nie widać, ale sama postać na łóżku robi wystarczająco sugestywne wrażenie.

Żegnamy się z ordynatorem. W drodze do samochodu Alicja włącza telefon.

– No tak, kilkanaście nieodebranych... sam zobacz – pokazuje mi telefon – ale mają parcie na ten materiał¹¹¹² – w jej głosie wyczuwam lekki niepokój...

– Jak znam życie i tą firmę, to zwykle tak parte materiały i tak nie wchodzi – staram się ją podtrzymać na duchu – tylko leżą i leżą... i leżą... a potem, jak mają szczęście, to na lokal wchodzi...¹³

– Ale co zaliczam joby¹⁴ z Warszawy to zaliczam...

– No tak... i wali się moja teoria, że nie ma niepotrzebnych zjebek – próbuję poprawić jej humor, ale ona już oddzwania do wawy.

Pakując się do samochodu, podsluchuję jak negocjuje z redakcją i zdaje im relację z tego, co zrobiliśmy i co mamy zrobić. Wyczuwam, że wizyta u rodziców jest trochę po­nad jej siły. Zaczynam o tym myśleć i zaczynam się bać. A gdybym to ja był na miejscu ojca tych dziewczynek? Mam dwoje dzieci. Czy chciałbym rozmawiać z dziennikarzami

11Parcie na materiał – ktoś z warszawy , zgłasza temat jako, zrobiony, i potem, ściemnia, że wszystko jest, a jak się okaże, że jednak nie, to ci jego szefowie, fundują mu dupę średniowiecza, i miło nie jest, ale trzymają się swoich posadek, dobrze płatnych, i wymuszają działanie, na podwładnych, a my w oddziałach, musimy to zrobić. Typowa dżungla.

12 Materiał – artykuł prasowy w trakcie realizacji

13 na lokal wchodzi – niektóre gazety oprócz wydań krajowych mają też w nich strony lokalne, kolpor­to­wane tylko w konkretnych miastach, np. we Wrocławiu i w Poznaniu, zamieszczane są tam artykuły doty­czące tych miast

14 joby – powinno być zjebki, ale trochę za dużo ciężkich wulgaryzmów, ale taka jest ta praca

z tabloidu¹⁵? A mówiąc po prawdzie ze szmatławca, brukowca? Nazwę tabloid wymyślili właśnie redaktorzy tych gazet. Żeby się lepiej słyszało i nie kojarzyło. Seks, krew i skandal, tym się żywią. Nieważne, czy słusznie czy nie, byle zgnoić, o konsekwencjach się nie myśli. A ten motocyklista, młody chłopak, kochał pewnie szybkość, jechał w nocy, myślał, że będzie pusto, jak on będzie żył ze świadomością, że zabił? A ja dokładam się do tego, że ludzie będą mówić o nim... morderca. Może się załamać, popełnić samobójstwo... warszawka ma to głęboko gdzieś. Już słyszę, jak mówią: i co z tego, będziemy mieli przynajmniej kontynuację... czuję motylki w brzuchu... nie, to telefon wibruje...

– Tak, słucham?

– Cześć, tu Kowalski z foto z wawy... Czekam na foty z tego wypadku z dziećmi... kiedy coś wrzucisz?

– Stary, ja dopiero ze szpitala wyjeżdżam...

– Masz zwyrola?

– Motocyklistę mam, na łóżku jak leży doczepiony do tej aparatury...

– To wysyłaj od razu... Masz laptopa przy sobie?

– Mam, ale wyśle z redakcji będzie szybciej i taniej.

– No, co ty – denerwuje się fotoedytor Kowalski – szkoda czasu...

– Słuchaj, mam prywatny telefon i w tym miesiącu już dość się nawysyłałem i rachunek mam coś koło czterech baniek¹⁶, a zwrot tego dostanę najszybciej coś za dwa miesiące. Nara, muszę kończyć – przerywam rozmowę.

Cwaniaki, psia krew, na etatach, tylki grzeją w redakcji, żadnych kosztów nie ponoszą, a pensyjka równo koło dwudziestego któregoś wpływa na konteczek w banku i luz. A ja czasem czekam dwa miesiące, jak mi wpłynie. Bo ktoś na urlopie, a potem jeszcze ktoś, a umowy to w czwartki tylko można zanieść, i tak w kółko Macieju. Kiedyś dostałem pieniądze trzeciego, a następne ostatniego dnia miesiąca kolejnego, a zrobiłem coś koło dwunastu tysięcy kilometrów, bo to, to tamto trzeba było zrobić w całej Wielkopolsce i Lubuskiem. Miałem sobie do baku susiać, czy coś... zapożyczyłem się, że hej. Dobrze. Że wycena była odpowiednia za zdjęcia, i wszystko weszło, to było z czego oddać.

– Wojtek, ci rodzice mieszkają na osiedlu Braterstwa... blok numer dwadzieścia dziewięć – wytrąca mnie z rozważań Alicja. – Wiesz, gdzie to jest?

– Dwadzieścia dziewięć? To chyba koło Domu Kultury Księżyc, sprawdź na planie – wyciągam z kieszeni w drzwiach auta książeczkową dokładną mapę miasta – ale to prawie na sto procent jest tam, bo w dwadzieścia osiem mieszka mój kumpel... jeszcze z pracy w telewizji... – dodaje.

Alicja sprawdza skorowidz, odchylając niesforne kosmyki blond włosów, zsuwających się na mapę, znajduje blok i mówi:

15 Tabloid – kolorowa gazeta codzienna z przewagą zdjęć, gdzie artykuły są pisane bardzo prostym nieskomplikowanym językiem, np. niemiecki Bild, a w Polsce Super Ekspres i Fakt

16 bańka – sto złotych polskich, to dla starszych czytelników, co pamiętają jeszcze czasy, gdy odbierało się pensję w milionach i wtedy na jeden milion mówiło się bańka

– Masz rację na lewo od Księżycy. Skąd ty znasz tak miasto?

– Z kątowni¹⁷ – odpowiadam żartem, widząc, że stres przed spotkaniem z rodzicami ją zżera... – kiedyś mieszkałem w tej dzielnicy... od brandenburskiej będzie to chyba pierwszy wjazd... zaraz za kładką...

Przede mną jakiś mistrz kierownicy, gadający przez komórkę, ze ślimacza prędkością, zjeżdża na lewy pas do skrzyżowania w osiedle. Zapala się zielone, skręca, i widzę, że to jakiś etranżer¹⁸ z korporacji spożywczej. Nie będę trąbił. Gość ma dość stresów. Pojedzie na spotkanie przedstawicieli handlowych swojej firmy na drugi koniec Polski i zostanie na schodach hotelu z garniturem w ręku, jak mój kolega, bo zabrali mu kluczyki laptopa, i komórkę. Szukał automatu, żeby wezwać taksówkę. Bo syn kolegi prezesa nie miał pracy.

– Wyprzedź go... – pogania mnie Alicja. Widzę jak nerwy jej puszczają – no dalej...

– Spokojnie... tak do tych rodziców się śpieszysz?

– No, nie... ale miejmy to już za sobą...

Cholerne garby zwalniające, moje audi z jęczeniem amortyzatorów przeskakuje je podczas wyprzedzania auta handlowca. Skręcam w prawo i podjeżdżam pod wieżowiec numer dwadzieścia dziewięć. Alicja odbiera kolejny już telefon.

– Tak, podjechaliśmy już pod blok rodziców... tak zobaczymy, co się uda... teraz na razie nie dzwońcie... no, cześć... co za ludzie – dodaje, już do mnie – przecież jak tak napierdalają na komórkę, to pracować się nie da... – kwituje.

Przekleństwo... i... Alicja... to coś wyjątkowego, musi być bardzo zdenerwowana. Jak tak na nią patrzę, to chce mi się wyć... AUUUU... AUUUU... co ty tu, dziewczyno, robisz? W tej redakcji?

Stajemy przed wejściem do bloku. Nerwowo zawijam pasek aparatu dookoła dłoni, zerkam, czy ustawiłem wszystko na trudne warunki. Wysoka czułość, dwa osiem światło, na tyle obiektyw pozwala, czas co najmniej sześćdziesiąt, żeby przy kaszleniu zagłuszającym migawkę dał zdjęcia nie poruszone. Ktoś wchodzi i wsiadamy do windy.

– Siedemdziesiąt dwa... jak myślisz, które to piętro? – pyta Ala.

– W hotelu to byłoby siódme, ale w tych komuszach blokach to pewnie liczyli po kolei... i wypadnie piąte... wduś piątkę... najwyżej dojdziemy po schodach.

– Dojdziemy... Wojtas!!!! – taki żart w jej ustach to znak, że stres ją zżera na tak zwanego maksa.

– No dobra, dojedziemy... – łagodzę – ale co dzwonimy – mówię, widząc łzy w jej oczach (pięknych oczach i... no, dobra sumienie, już przestaje. Nooo, odpowiada sumienie, ja myślę.)

– No, nie wiem... – Alicja łamiącym się głosem mówi – stracili wszystkie dzieci, a my z tymi butami w ich życie... tak krótko po tej tragedii...

17 kątownia – miejsce nieistniejące, odpowiedzialne za pojawianie się różnych rzeczy, o dziwnych właściwościach

18 etranżer – po prostu akwizytor, przedstawiciel handlowy

KADR OSTATNI

No i zostałem bez pracy. Zdjęcia robię hobbystycznie. Sam wybieram, co chcę zrobić. Może ktoś kupi, jakąś fotę. A z tym trochę trudno. Ale nie upadam na duchu. Mimo, że banki, dość mocno upominają się o spłatę zadłużenia. Kolegów mam, co firmę reklamową prowadzą. Przygarnęli mnie. Słabe pieniądze, ale atmosfera zaję...sta. tylko oni normalni, to nie są. Przyjęli ostatnio, takie zlecenie. Na robotę. Typowo reklamowe. Wyburzenie kamienicy. Dwa tygodnie mnie podpytywali, czy podjąłbym się, szefowania ekipie, która taką przybudówkę na podwórku rozbierze. Bo na tej budowlance, to trochę się znam. Dom postawiłem, i ludzi trzeba dopilnować. Przybudówka? Pewno, mogę to zrobić. Ustaliśmy cenę. Przyjeżdżam na miejsce. Wchodzę na podwórze. I chyba adres pomyliłem. Trzykondygnacyjna oficyna. Niestety, mój przyjaciel Zyga, po chwili wychodzi z budynku. W kasku na głowie. Niestety nie pomyliłem adresu. I mówi do mnie jakimś takim szeptem: „Troszku się wpierdoliliśmy”. „NO WŁAŚNIE WIDZĘ!!!”. Odpowiadam. Ale obiecałem, że im pomogę, to się teraz nie wycofam. Przyjaźnimy się, i parę razy mnie wsparli, jak ciężko było, to teraz ich nie zostawię, w tej wtopie. Co za goście. Normalnie mnie przerażają. I tak wożę raz za razem, taczki z gruzem, słuchając jak, ekipa od rusztowań, wyzywa się słowami na k... na ch... na p... I nie widzę różnicy w pracy. Poprzednio, panowie redaktorzy też tymi słowami się zwracali do mnie. A to podobno inteligencja narodu???? A tu jako robot, jeżdżę z taczkami, z gruzem, i to samo??? Ten sam język??? Znaczą Niemcom i ruskim, po trzystu latach udało się wybić w końcu w pień inteligencję i kulturę w tym narodzie. Co widać w sejmie. I w posłach, których do telewizji zapraszają. Takich ważnych. „Mężów Stanu”. A większość z nich to powinno z tą taczka z gruzem jeździć. Którą akurat pcham, jak te słowa układam. To by schudli, jak ja. I, spokornieli.

Wcielamy się w roboty. Ja i moich dwóch przyjaciół. I jeszcze ich pracownik. Sympatyczny chłopak. I tak jak ta ekipa od rusztowań, wyzywamy się słowami na ch... k... i p... ale zawsze, jak sobie tak docinamy, wulgaryzmami, i szydzimy z siebie nawzajem, to gdzieś w ostatniej zgłosce zdania, wyrazie twarzy, spojrzeniu, jest sympatia...i szacunek który do siebie mamy... choć to może za dużo powiedziane... ten szacunek...Po prostu, lubimy ze sobą przebywać, opowiadać sobie historie z życia... bekać... pierdzieć... zachowywać się tak ludycznie... i mieć wszystko w tzw. czarnej dupie jak ze sobą przebywamy...reszta jest milczeniem. Po prostu samo życie. Faceci po czterdziestce, co dogadać się z żonami, nie mogą, z różnych względów. Głównie dlatego, że kobiety, które kiedyś były dziewczynkami, nie czytały nigdy komiksów. Z pewnymi wyjątkami oczywiście. A my, jak to na trzech przyjaciół z boiska przystało, porozumiewamy się właśnie cytatami z komiksów. Ja preferuję „Kajka i Kokosza”, Zyga „Tytusa”. Potem przechodzimy na teksty z jakichś kultowych filmów polskich, typu: „Rejs”, „Miś”, i z paru takich nowych produkcji. Zawsze mnie to zastanawiało, że korzystając, z tak nieadekwatnych do sytuacji słów, potrafimy się zrozumieć. A osoby postronne jeszcze parę dni żyją w osłupieniu, myśląc: „To

niemożliwe, jakaś wycieczka z domu wariatów, tą reklamę robiła. I jeszcze cały czas rehotali...nie wiedzieć, z czego... ale kaseton z reklamą zrobili fajny... i świeci najjaśniej na całej ulicy”. No i uwielbiamy mówić do siebie: „Zwierzę...” jak coś soczystego któryś z nas zapoda, takiego od serca. Niebezpiecznie trochę tu jest, bo ściany tej oficyny, to takie bardziej piaskiem murowane. I piwa nie pijemy. Tylko wodę. Jak zwierzęta, zupełnie. Tą wodę pijemy. I to nasze obcowanie ze sobą na tej budowie?...Rozbiórce? To nasze takie Katharsis. Jaki kraj takie Katharsis. Tak bywa.

Najlepsze jest to, że odzyskuję spokój ducha. Telefon milczy. Skrzynka meilowa milczy. Czasem, jakiś telefon z estrady, że koncert jest, i foty by chcieli. Albo z jakiejś gminnej gazety, zadzwoni jakiś sympatyczny, dziewczęcy głos, co to nawet nie wiem jak rozmówczyni wygląda, i prosi grzecznie, czy nie mógłbym podjechać do takiego Swarzędza, bo będzie Goran Bregovic, albo inna gwiazda, i zdjęcia im wysłać. Po prostu inny świat. Jak w „Tygodniku Poznańskim”. Taki spokój. I kultura. I szacunek. Nazywają to chyba: „Miłą atmosferą w pracy”. Ale tu w tej gazecie to takie rzeczy się nie wydarzają. Tylko: „Arbeit, arbeit, arbeit” i: „Jawohl, jawohl, jawohl”, a jak ktoś się zbuntuje to: „rue, rue, rue”. A tygodnik też wszyscy określali mianem szmatławca, brukowca, a wiedzieli zawsze, dokładnie jakie tematy ostatni numer zawierał. Ze szczegółami znali artykuły. Ale wtedy, to tej obecnej redakcji jeszcze nie było. I nikt nie wiedział, jak taki brukowiec naprawdę wygląda. I jak może mieszać ludziom w głowach. I tą gazetę jednak czytają. Różni ludzie. Z różnych środowisk. Zaskakujących wręcz. Ukradkiem pewnie czytają. Choć zarzekają się, że nie biorą tego gówna do ręki. No bo gówna do reki się nie bierze. Chyba, że psie,. Taka akcja jest teraz. „sprzątam po swoim psie”. I tam rozdają takie woreczki. Do zbierania tych kup. to może zadzwonię do wawy, teraz, żeby takie woreczki? Rękawiczki? Do wydania dodawali, co by ludzie, rąk sobie nie brudzili? To jest pomysł! Nie płytka Cd, nie torebka, nie koszulka. Tylko takie jednorazówki chirurgiczne... ale hicior wymyśliłem teraz...

A ci, co to nie czytają tej gazety, zawsze na bieżąco są z tematami. Na tak zwanym kiblu, pewnie ją wertują. Żeby nikt nie widział. Miejsce idealne. Tylko jakby papieru do twarzy tam zabrakło, to lepiej się nią nie podcierać. Jak ktoś białą bieliznę preferuje oczywiście, bo takie kolorowe ślady od farby drukarskiej mogą zostać. A czy z bawełny ta farba schodzi, to nie wiem. Ale te rękawiczki lateksowe, ten problem w pewnym stopniu rozwiążą.

Wożąc te taczki z gruzem. Nikogo nie krzywdzę. Nieświadomie. Albo świadomie. Zarabiam czterokrotnie mniej. Ale mam czyste sumienie. I zasypiam ze spokojem. I budzę się nieludzko zmęczony. Wyrwane stawy dokuczają, i bóle w krzyżu. Od dziesięciu lat fizycznie nie pracowałem. Aparat czasem do ręki biorę i idę na spacer. I psa wtedy wołam. Cieszy się dziko. Spacer z Panem. To jest coś. I tak parę godzin łazimy. Ja, jak coś mnie urzeknie to staram się to utrwalić. Moja sunia w tym czasie, po jakichś krzakach, czy zakamarkach buszuje, za tymi swoimi pieskowymi zapachami. I jak ją wołam, to przybiega do mnie z mordą rozradowaną. I dobrze mi z tym, bo w lustrze wreszcie widzą swoją uśmiechniętą twarz... smutną, ale uśmiechniętą... bo trochę, za ten sprzęt foto trzeba rat jeszcze zapłacić... i tyle. A te taczki z tym gruzem, to nawet polubiłem... praca w mediach polega na czekaniu... na moment, w którym robi się zdjęcie... ale najczęściej na wypłatę... a w rozbiórce na moment... kiedy ci taczkę zapełnią gruzem...

Wojtek Wardejn Poznań, lipiec-sierpień 2008

Spis treści

WSTĘP 5

czyli słów kilka o tym, co boli

KADR I 6

Dwie małe śmierci, czyli jak podeptać czyjąś tragedię

KADR II 15

Do czego doprowadza mobing, czyli historia pewnego skarbu

KADR III 24

Serial basenowy, czyli jak zrobić z siebie idiotę 24

KADR IV 36

Telefony... telefony... telefony...

KADR V 47

Portret pamięciowy

KADR VI 52

Po prostu... Paulinka...

KADR VII 80

Patrycja – czyli jak ten zawód deprawuje

KADR VIII 92

Prowokacje – czyli jak robiłem z siebie durnia

KADR IX 103

Piotr – jak młodość i ambicja rozsądek usypiały...

KADR X 120

Pomyłki różne

KADR XI 127

Pioruny

KADR XII 138

O tym jak swoje dzieci zmuszałem do psychicznego nieładu 138

KADR XIII 144

Papparazzi... czyli stanie, stanie, stanie... i czekanie, czekanie, czekanie

KADR XIV 154

Finanse, czyli problemy niemłodego wyrobnika

KADR XV 159

OSTRZEŻENIA

KOŃCOWE UJĘCIA 160

KADR OSTATNI 162



Jest to studium mechanizmów funkcjonowania hierarchii wartości w jednym z tzw. tabloidów. Autor - fotoreporter nie zatracił jednak do końca wrażliwości... Przybliży prawdę o medium wnikliwie i obrazowo. Osiąga to poprzez wierne relacje językowe. Dialogi pełne kolokwializmów, skrótowości, wyrazów dosadnych i niecenzuralnych. Tak porozumiewają się ludzie świata mediów. Fotoreporter (współ z dziennikarzem) realizuje często absurdalne polecenia, które budzą wewnętrzny sprzeciw. Książka odsłania manipulacje informacjami o zdarzeniach, nawet tych tragicznych. Pisarz wykorzystując swe wieloletnie doświadczenie oddaje klimat pracy w redakcjach tego typu mediów. Liczne sytuacje śmieszą swym komizmem. Wszystko to sprawia, że książkę czyta się dobrze.

*Profesorka Języka Polskiego
z jednej ze szkół, do której Autor kiedyś zabłądził*

[Kup książkę](#)